

UZBECKIE ZADUSZKI

Czyli lekcja historii.

Dla młodzieży oazowej urządziłem w ostatni dzień października dzień skupienia, który miał być “anty-heloweensem”. Odwiedziliśmy późnym wieczorem stare zapomniane “niemieckie” cmentarzysko, które udekorowaliśmy świecami. Potem wędrowaliśmy po protestanckich kaplicach i kościołach po raz ostatni w roku odmawiając w drodze różaniec. Większość dzieci była w mojej dojazdowej parafii po raz pierwszy w życiu więc prócz modlitwy mieliśmy jeszcze wycieczkę na świeżym powietrzu. Pogoda w Uzbekistanie jest sprzyjająca. Nadal mamy jak w Hiszpanii czy we Włoszech temperaturę grubo ponad 20-cia stopni.

Po Mszy św. o północy oraz całonocnym czuwaniu, młodzież “rozpędziłem na cztery wiatry”. Każdy z nich ma w niedzielę jakieś obowiązki w Taszkencie przy katedrze więc nie miałem prawa ich zatrzymywać w swojej małomiasteczkowej kilkusobowej parafii. Taki był temat mojej pierwszej zaduszkowej opowieści.

Teraz chce opowiedzieć reszta zaduszkowych przygod.

Po wyjeździe Taszkienckiej młodzieży z Angrenu w parafii zrobiło się cichutko.

W kaplicy posapywał Koreańczyk Witalik a na kuchni skeenhead Andrzej.

Po podwórku krzątał się Min Son trzeci śmiałek, który pozostał, by mi towarzyszyć kolejny dzień na innym “europejskim cmentarzu”.

Ku memu zdziwieniu większość osób, które poprzedniego dnia otrzymały pomoc w postaci ziemniaków i cebuli przyszły znowu tym razem na modlitwę.

Przyszli jak prosiłem o całą godzinę wcześniej. Po Mszy św. szybko zjedliśmy resztki plowu, który w przeddzień przygotowała na ognisku taszkiencka młodzież.

Siedliśmy na trzy taksówki i w podobnym stylu jak to było na Boże Ciało przemierzaliśmy miasteczko w “honorowej procesji żałobnej na kółkach” z kaplicy do cmentarza.

Na Mszy była również Andzela, najmłodsza uczestniczka oazy, która ze spóźnieniem dowiedziała się o przyjeździe oazowej młodzieży. Ona pomagała Koreańczykowi Min Sonowi roznosić świece po “cudzych” pomnikach, druga para Skeenhead i Witalik robiła to samo w innych miejscach. Parafianie tymczasem wyszukiwali krewnych i znajomych i świece na ich grobach stawiałem ja osobiście dbając, by wiatr nie zdmuchnął płomienia póki trwała modlitwa. To co się tego dnia działo na cmentarzu w żaden sposób nie przypomina uroczystych procesji z kropidłem i kadzidłem.

Głównym atrybutem nie był nawet znicz, kwiaty czy wianek.

Nie miałem ze sobą nawet agendy, by wedle schematu modlić się za: poległych, polityków, krewnych, dobrodziejów, nauczycieli i kapłanów. Do takiego poziomu jeszcze trzeba dorosnąć. Wychowanie w ludziach czci dla zmarłych to temat trudny w tych stronach.

Cmentarze często przypominają wielkie wysypiska śmieci, zresztą na osiedlach mieszkalnych jest przecież podobnie, czemu cmentarz miałby być ładniejszy.

Nie wzięliśmy więc również żadnych miotełek, szmatek do mycia czy wiader.

Owszem tu by się przydało zacząć od tego i zrobić “wielkie sprzątanie”.

Tym niemniej na początek chciałem uczulić parafian, że po prostu jest w kalendarzu taki dzień i że nie warto “wspominając rodziców i przodków” skrapiać mogiły alkoholem.

Trudno sobie nawet wyobrazić dla katolików z Polski jak szokujące są niektóre zwyczaje pogrzebowe w tych stronach. Palenie papierosów na cmentarzu nikogo nie dziwi, to norma.

Grabarze rzadko są trzeźwi a na to by pojawiły się piękne karawany i panowie w czyściutkich uniformach będziemy jeszcze czekać dziesiątki lat lub całe życie.

Taki zwykły spacer trzeźwych ludzi ze świecami na cmentarzu to już coś nowego w kulturze sowieckiego wschodu. Stróżująca kobieta widząc nas od razu ze zdziwieniem zapytała: “co to za wycieczka”.

Tak więc nie było pompy żadnej a tylko 30 najprostszych świeczek ze stearyny rozciętych na trzy kawałki, (by było ich 90). Takie małe 7-mio centymetrowe kikuty można było lekko postawić by nie upadły na mogile pod swym ciężarem.

Nie muszę chyba dodawać, że tego dnia żaden z parafian nie przynosił ofiar na wypominki lub intencje. Za sukces uważam, że na moją prośbę większość przyniosła karteluski z imionami swych zmarłych.

Kot cmentarny

Ciekawostką azjatyckich cmentarzy są zwierzęta. Ponieważ dla zmarłych przynosi się tzw. “śniadanie”, podczas którego żywi wypijają alkohol, to po odwiedzinach pozostaje sporo słodyczy i jedzenia dla kotów, psów i ptaków. Nic dziwnego, że i tym razem natrafiła się nam “hiena cmentarna” w postaci utuczonego i jakby tresowanego kota.

Chodził dumnie jak król i bez strachu podchodził do grupy parafian. Razem z nami zrobił on długą, półtoragodzinną pielgrzymkę wokół cmentarza.

Chwilami przymilał się trąć się o nasze nogi, innym razem korzystając z chwili modlitwy rozkładał się na ciepłym od słońca marmurze odwiedzanych przez nas pomników. Musiał być mocno zde gustowany tym, że zamiast jedzenia stawiamy świece, które on dokładnie obwąchiwał i ze złością odskakiwał gdy wąsami poczuł na sobie ciepły ogień.

Mąż Sviety

Proponowałem pójść inaczej niż zeszłego roku tzn. w kierunku północnym.

Kobiety jednak zaprotestowały, bo ich krewni i znajomi “leżeli” głównie wzdłuż południowej i zachodniej ściany cmentarza. Najpierw odwiedziliśmy pierwszego męża Pani Swietłany, która jak dotąd nigdy nie opowiadała mi o tym, że jest wdową. Miałem ją raczej za rozwódkę. Okazało się, że ojciec jej córki Nataszy, która również była obecna zginął tragicznie w kopalni w wieku 30 lat.

Na nagrobku z metalowym krzyżem błękitnego koloru, widniało zdjęcie blondyna z solidną grzywą i regularną rosyjską lub tatarską fizjonomią. Wokół było sporo krzewów więc niełatwo było się przedzierać przez te chaszczki tym niemniej cmentarz już rok temu zrobił na mnie wrażenie. Pośród wszystkich napotkanych w dawnym ZSRR ten jest jeden z ładniejszych.

Mama Zosi

Pani Zosia pokazała nam nagrobek niemieckiej rodziny, którym wraz z synem się opiekuje. To są dalecy krewni Zosi. Najbliższa rodzina wyjechała do Niemiec ale tego lata odwiedzali groby. Właśnie na ich nagrobku kotek otrzymał “pogrzebowego placka”. Pani Zosia jako jedyna w tym roku przyniosła śniadanie dla zmarłych i nawet się na mnie obruszyła troszeczkę, gdy położyłem placek zbyt blisko świecy i kotek miał kłopot, bo bał się ognia.

Ze znalezieniem grobu mamy pani Zosi zawsze były kłopoty i jak zawsze pomagał nam w tym wszechwiedzący Aleksiej. Wołał nas z daleka byśmy do niego poszli.

Koreańska mogiła

Na cmentarzu w Angrenie ilość niemieckich, ormiańskich i właśnie koreańskich nagrobków imponuje. Na chwile można zapomnieć, że się jest w muzułmańskim kraju. Wszędobylskie krzyże rozweselają oczy pomimo, że symbolika krzyża na cmentarzu zwykle pobudza nostalgie. Nieopodal mamy Zosi i niemieckich krewniaków był grób Koreańczyka. On jak się okazało był teściem siostry pani Rozy. To że Roza była z nami na cmentarzu było dla mnie największą niespodzianką. Jest to tzw. “ryżowa parafianka”, czyli taka, która przychodzi do kościoła, by raczej prosić o wsparcie niż się modlić. To zjawisko typowe w krajach misyjnych i chwilami

przykre. Owszem, były czasy, że i w Polsce chodziło się do kościoła, by odebrać dary. Tutaj jednak to przybiera formy ostentacyjne. Ostatnimi czasy ta kobieta, która utrzymuje się właśnie z wykonywania tablic nagrobnych przez kilka miesięcy ostentacyjnie nie chodziła do kościoła pokazując w ten sposób i tłumacząc przez pośredników, że jest bardzo zajęta nawet w dzień świąty, i że musi jakoś utrzymać swe dwie malutkie wnuczki.

Tym razem nic nie mówiła i nie wypominała. Była wyraźnie zadowolona z tych odwiedzin i mocno chwaliła Koreańczyka, że to był dobry człowiek.

Babcia Igora

Podobne pochwały otrzymała babcia Igora, który jest mężem wspomnianej na wstępie Nataszy. Jej nagrobek też był błękitnego koloru a wyraziste czarne litery widoczne były z daleka. W głębi chaszczu.

Mąż Wali

Pani Walentyna, druga osoba, która rok temu na cmentarzu z nami nie była, lecz przyszła teraz odnalazła nagrobek swoich przyjaciół po sąsiedzku z grobem męża. Wszystkie nagrobki mają numery, przy wejściu na teren jest stróż i można wedle numerów szybko znaleźć kogokolwiek. Nasi jednak parafianie odszukiwali swych bliskich dzięki innym znajomym mogiłam. Przy każdej z nich następowały wspomnienia i jakieś komentarze.

Ten człowiek, przy grobie którego zatrzymała się Walentyna był baptystą i jego pogrzeb urządził pastor Wytrwał, który po swym nawróceniu na katolicyzm dał początek naszej wspólnoty. Ponieważ z zawodu był cieślą, on również wykonywał dla zmarłych parafian trumny, czym zdobył sobie szacunek i wdzięczność.

Mąż Walentyny też był górnikiem. On również zmarł młodo i tragicznie.

Karzelek

W północnej pagórkowatej części cmentarza asfaltowana aleja przechodzi w zwykłą ścieżkę. Tutaj większy bałagan i dużo chwastów, które ktoś nieopatrznie niedawno podpalił. Zapaliły się też niektóre drewniane krzyże. Mało prawdopodobne, by pożar był od zniczy. Tego zwyczaju nie ma w tych stronach, by stawiać świece. Myśmy byli pierwszymi, kto coś takiego robił rok temu. Teraz przyszła pora, by te lekcje powtórzyć.

Natasz zapoznała nas w tej części ze swym znajomym, który był artystą. Występował w filmach i grał role karzełków.

Mama Igora

Przedostatni grób na którym osobiście postawiłem świecę to była znowu mogiła krewnych Svety i Nataszy. Po babci Igora przyszła kolej na mamę. Tutaj świeczkę stawialiśmy z lękiem, bo na mogile było dużo trawy. Wiatr szybko gasił świece tym nie mniej było ryzyko, że ogień może spustoszyć okolice.

Timofiejewna

W pobliżu głównej alei odwiedziliśmy na pożegnanie podobnie jak rok temu nagrobek ukryty wśród rzadkich sosen. To parafianka Timofiejewna, która wedle kościelnego zwyczaju zaprowadził na cmentarz o. Tadeusz. Trzeba przyznać, że taki pogrzeb zrobił wrażenie na parafiankach i odtąd często jestem nagabywany czy dla nich coś podobnego urządzę.

Ormiański grób

Grób, który zrobił na mnie wrażenie, to wielka czarna marmurowa głyba z rysunkiem ormiańskiego chłopca, rosyjskiej dziewczyny oraz samochodu. Walentyna opowiedziała mi, że to bardzo smutna miłosna historia. Napis: "zmarli tragicznie" jest mylący. Nie zginęli oni w wypadku samochodowym jak by się ktoś mógł domyślać. Oni byli z różnych grup narodowych i różnego statusu materialnego. Bogaci rodzice Ormianina nie dawali zgody na ślub, więc młodzi zamknęli się w samochodzie w garażu, włączyli silnik i...otruli się gazem.

Dziennikarz

U samego wejścia na cmentarz jest pomnik z portretem solidnego, spuchniętego na twarzy mężczyzny z żydowskim nazwiskiem. Parafianie opowiedzieli mi, że to był Redaktor Główny miejscowej gazety, który nigdy papierosa z ust nie wypuszczał.

Tutaj przypomniała mi się postać pisarza z Donbasu, Greka, który również gdy go odwiedzałem prosił, bym po drodze kupił mu paczek papierosów. Prosił choć zapewne wiedział, że to mu mocno szkodzi. Kilka miesięcy po mojej wizycie z paczką papierosów zmarł.

Cmentarz Botkina

Chodzenie po cudzych cmentarzach ma swój urok ale też nie powoduje emocji.

Gdy jest obok ktoś kto znał losy zmarłych serce zaczyna bić głośniejsze od relacji różnych historii. Moje wrażenia z Angrenskiego Cmentarza, choć nie jestem tu po raz pierwszy były tak mocne, że po powrocie do Taszkientu poprosiłem swych ministrantów, by mi pomogli roznieść pozostałe świece. Na angrenskim cmentarzu pozostawiłem 80 świec. Miałem jeszcze 10 oraz setkę ogarków z zakrystii.

Świece postawiliśmy na nagrobku żołnierzy armii Andersa przy samej katedrze. Opowiedziałem ministrantom historię ich życia i śmierci. Słuchali uważnie. Zapalanie świec sprawiło im wyraźną przyjemność jak chyba każdemu dziecku. Mieliśmy do pokonania 2 kilometry więc po drodze na cmentarz Botkina odmawialiśmy różaniec.

W trakcie drogi najmłodszy zapłakał i mi się wydało, że się lęka, bo była godzina szósta i szybko nadchodził zmrok. Jednak cmentarz był dobrze oświetlony i zadbany. Żaden z chłopców wcześniej tam nie był. Gdy im pokazałem nagrobek piłkarzy, którzy zginęli w katastrofie lotniczej, to bardzo ich to zaintrygowało. Mogiła przedstawiała bramkarza z miedzi chwytającego w locie miedziana piłkę.

Poprosiłem podobnie jak w przeddzień, by na każdym nagrobku odmówili zdrowaśkę. Miałem tym razem jeszcze dużo cerkiewnych żółtych świeczek troszkę nadpalonych i dzieliłem je na części, by się nie przewracały. Takich ogarków powstało ze dwie setki a chłopcy posuwali się wciąż głębiej i głębiej. W pewnym momencie po 40 minutach wędrówki dostrzegłem skonsternowany że na placu przed cerkwią jestem całkowicie sam. Na parkanie cerkiewnym postawiłem ostatecznie cztery bezpieczeństwa ogarki i gdy obejrzałem się za siebie to aleja główna prawie kilometrowej długości była cała w iluminacji. Zadzwoiłem przez telefon do starszego z ministrantów by zebrał grupę i im to piękne widowisko pokazał.

Ja myślę, że ta lekcja była potrzebna. Chłopcy byli tak bardzo podekscytowani, że zgodzili się pójść ze mną na długi spacer. Szliśmy po tej samej trasie która wykonuje prawie codzień gdy mam dyżur u sióstr 5 km.

O godzinie 8-mej zastukaliśmy do furty klasztornej. Przełożona dała chłopcom obrazki i medaliki Matki Teresy. Większość spośród 7-miu chłopców nigdy wcześniej nie odwiedzało tego miejsca. Ponieważ siostry opiekują się bezdomnymi, którzy mieszkają na cmentarzu, ja żartowałem, że idziemy od nich by siostrąm przekazać pozdrowienia.

Konkluzje

Zaprawdę miłosierdzie dla żywych i dla zmarłych to bardzo podobne rzeczy. Bez szacunku dla cmentarzy i leżących tam ludzi, trudno mówić o szacunku dla żywych, którzy nas otaczają. Jedno drugiemu służy. Zmarli to wspaniali nauczyciele. Ładnie się o tym kiedyś wyraził św. Franciszek Salezy. “Gdy otwieram książkę w bibliotece, to wspominam, że jej autor być może gdzieś w mogile leży. Jego twórczość żyje nadal a poprzez to i on sam”.(parafraza)
Dodam, że każde cmentarzysko zaczynając od piramid poprzez rzymskie katakumby, Pere la chese, japońskie Jamasukro czy Yad Vashem, Stalingrad, Oswiecim, Katyn, Magadan, Karaganda, Wawel, Kopiec Kosciuszki i inne cmentarzyska wojenne czy obozy koncentracyjne, gdzie masowo ginęli ludzie, to również każdy małe cmentarzyk jest szkołą życia i historii. Bez znajomości przeszłości nie ma przyszłości.
O tym mówił Jan Paweł II i wiele innych mądrych osób.

Ks. Jarosław Wiśniewski

www.orient.to.pl

Taszkient 3 listopada 2009